

Wspaniali mężczyźni?

W jednym z ostatnich numerów „Szpilek” ukazała się minipowieść pt. „Romans z artystą”, wyśmiewająca niepoważną, samolubną postawę artysty w miłości: jego frustracja, kompleksy, niezdecydowanie co do przedmiotu uczuć, równie bezceremonialne korzystanie z serca i opieki kobiety, co jej porzucenie dla wyidealizowanej „Tamtej”.

Oczywiście owa sęczyra dotyczy nie tylko artystów. Wymowny przykład tego znajdujemy obecnie na scenie — w najnowszym przedstawieniu Teatru Kameralnego: „Dwoje na huśtawce” Williama Gibsona. Również podobna postawa — tyle że ukazana nie na przykładzie artysty, zawsze mającego w sobie coś z psychiki dużego dziecka, lecz „statecznego” prawnika, adwokata. Dzieje miłości między pozakującym oparciu mężczyzną i obiektem jego zainteresowań — samotną, ubogą dziewczyną, zakończone odejściem od oddanej mu bez reszty kochanki do niewiernej a drogłej żony — oto ramy sztuki amerykańskiego pisarza. W tych ramach przez dwie przeszło godziny toczy się... pojedynek płci. Banałna nieco przez swą typowość historia dwojga młodych, którzy przez jakiś czas są sobie wzajemnie potrzebni, potem związani już tylko liłością jednej ze stron w stosunku do drugiej, na koniec przeżywający rozstanie, które dla mężczyzny znaczy

powrót do dawnego życia, dla kobiety — koniec wszystkiego.

Choć temat — zwykłej miłości dwojga zwykłych ludzi (tak rzadko w bezpośrednim wymiarze spotykany dziś na scenie) — już sam w sobie wzbudza zainteresowanie, choć sztuka Gibsona napisana jest zreżysersko: operując świetnie dialogami, kreśli żywe sylwetki, zawiera sporo komizmu — sie też i nut rzewnych, wzruszających, choć para krakowskich realizatorów wywiązuje się świetnie z niełatwego zadania scenicznego duetu w pełnospektaklowym widowisku — „Dwoje na huśtawce” nie trzyma widza bez reszty w napięciu. Przeżywa on moment osłabienia uwagi, a nawet wyraźnego znudzenia. Znużenia — „preteatralnieniem” wątlęj dramatycznie sztuki Gibsona.

Sądzę, że spektaklowi wyszłyby bardzo na dobre mniejsza dąza pietyzmu wobec tekstu sztuki, jego skondensowanie, skomasowanie do dwuczęściowego spektaklu, co automatycznie zwiększyłoby tempo akcji, „mniejszając wyraźną celebrację” — szczególnych scen i nadmiernie rozbudowane obrazki z codziennego życia. Pamiętam znakomity spektakl „Dwoje na huśtawce” w konwencji „teatru en ronde” na małej scenie warszawskiego „Ateneum”. Nie tylko znakomitej grze Zbigniewa Cybulskiego i Elżbiety Kepińskiej zawdzięczał on swój

artystyczny sukces. Także skupieniu się w surowej, kameralnej inscenizacji, przede wszystkim na psychologicznej warstwie sztuki.

Choć z drugiej strony przyznać trzeba, że w krakowskim przedstawieniu owa siłnie rozbudowana otoczka inscenizacyjna spełnia również poważną rolę jako komentarz do perypetii dwojga młodych ludzi, zagubionych w wielkiej współczesnej metropolii. A więc arcyciekawa scenografia (Lidia Minticz i Jerzego Skarżyńskiego): stylizowane witraże z drapaczy chmur. A więc łącząca poszczególne sceny pełna grozy „muzyka” wielkomięjskiej ulicy.

W nowym krakowskim przedstawieniu przede wszystkim na uwagę zasługują interesujące aktorstwa. Jak zawsze świetna Anna Polony (zarazem debiutująca tu jako reżyser!), niemal przez cały spektakl znajdując się na scenie, ma tu doskonale pole do popisu. Choć jej Gizela wyraźnie góruje siłą psychiczną odpornością nad swym scenicznym partnerem — Jerrym, który w realizacji Jerzego Radziwiłowicza jednoznacznie uosabia postać zagubionego w świecie i życiu niedołęgi — ją także pożera, a sądzić można, że pożre bez reszty, brutalność życia w zagrażającym ludzom i sprawom ich miłości wielkomięjskim molochu.

Co nieco do myślenia daje więc sztuka i spektakl „Dwoje na huśtawce”.

✱

Miłość na scenie i miłość na estradzie. Po „Stu twarzach miłości” krakowska „Estrada” wystąpiła w Ka-

wiarni Literackiej z nowym programem. Tym razem pióra swego dyrektora — Tadeusza Kwiatkowskiego: „Ci wspaniali mężczyźni”. Autor kilku zabawnych komedii, tym razem zastosował wyraźną taryfę ulgową dla swego pióra dramaturga. Z materiału na jedną udaną i drugą nieco naciąganą, sztucznie „watowaną” humoreska, stworzył dwuaktową farsowo-komedijską, wystawiając ją na kabaretowo-literackiej estradzie. Nawet specjalista od spektakli sztuk małoobsadowych, Roman Próchnicka nie potrafiła jako reżyserka — mimo kilku ciekawych pomysłów sytuacyjnych (m. in. wykorzystanie galerijki) wiele wykrzesać z blachej, choć wesołej miejscami sztuczki.

Ratują ją wykonawcy. Kazimierz Witkiewicz, aktor jak wiadomo znakomity; czaruje we „Wspaniałych mężczyznach” finezją gierki, mimiki, gestów, modulacji głosu. Tworzy postać urokliwego donzuana, który wpada we własne sidła i przeradza się w staromodnego pantoflarza. Jego „lekcje” miłosnej sztuki, udzielane synowi, to najlepszy fragment programu. Sporo estradowego wdzięku ma również drugi wykonawca, młody aktor, coras skutecznie wybijający się na scenie — Aleksander Fabiański.

Ale i ciekawie, doskonale miejscami, realizatorzy nie zdają z wstęgu, nierbytu pasującego do prezentacji w kawiarnianych warunkach tekstu stworzyć arcydzieła estradowej sztuki. Nie są nim na pewno „Ci wspaniali mężczyźni”.